NUMER 4. LUTY 1909. ROK I.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

DR. ADOLF CHYBIŃSKI.

MIECZYSŁAW KARŁOWICZ.

Czytając dotychczasowe „prace“ o Karłowiczu, ma czytelnik, znający jego dzieła, wrażenie, że właściwie nikt z autorów (prócz krytyka warszawskiej „Nowej Gazety“, p. Opieńskiego) nie zdaje sobie ani w przybliżeniu sprawy z tego, kim był Karłowicz, co straciła muzyka polska przez jego tragiczny a przedwczesny zgon. Nawet ci, co „chwalili“, czynili to z tej prostej przyczyny, że o nim słyszeli lub czytali w warszawskich i niemieckich pismach bardzo „pochlebne“, a najczęściej bardzo nietrafne krytyki. Prawdę mówiąc, Galicja nie zna nic więcej ponad jego pieśni, niemniej wartościowe niż pieśni najbardziej „wziętych“ u nas pieśniarzy. Lwów miał raz sposobność (za czasów istnienia Filharmonii) poznać jego pierwsze kompozycje orkiestrowe, należące jeszcze do szkolnego warsztatu, niedawno poznał pierwszy jego poemat symfoniczny „Powracające fale“ podobno w bardzo słabem wykonaniu (zważmy że dzieła Karłowicza wymagają dobrej wirtuozowskiej orkiestry i kapelmistrza nietylko z urzędu ale i urodzenia), niedawno też poznał drugie po „Powracających falach“ dzieło p. t. „Trzy odwieczne pieśni“, dzieło niemniej trudne, miejscami (n. p. w pierwszej i drugiej części) bardzo trudne, obfitujące w wielkie subtelności rytmiki, tempa, dynamiki i wszystkiego, co się nazywa frazowaniem i artystycznem wykonaniem. Że Karłowicz u nas znany nie jest — to wina stosunków kulturalnych, które trzeba z gruntu zmienić, wypielęgnować je na licznych wykonaniach klasycznej, nowszej i najnowszej muzyki symfonicznej, aby nowsza muzyka polska mogła być w istocie rozumianą, a nie tylko z respektu oklaskiwaną. Tego u nas brak : koncertów za mało, nie wiadomo czy wykonywać Beethovena, Haydna, Mozarta, Wagnera, Berlioza, Strausa, Brucknera, czy też udowadniać społeczeństwu że posiada tak wielkie talenty symfoniczne jak Różycki, Fitelberg,



MIECZYSŁAW KARŁOWICZ.

Szymanowski, Karłowicz. Stąd plany „kampanii“ koncertowej są zazwyczaj zdumiewająco dorywcze; co do Lwowa, to dobrze że i to jest, w Krakowie ospałym nie ma nawet miernej orkiestry, a stosunki lokalne (nie tylko sam brak środków) dozwalają tylko na kult — no! nie poruszajmy tych spraw (raczej sprawek). Dlatego nietylko nasi wyżej wymienieni czterej symfoniści, ale nawet dzieła orkiestrowe Noskowskiego, Stojowskiego, Melcera należą do „muzyki przyszłości“, ponieważ ogryzanie kości na tamtejszym śmietniku należy wyłącznie do uprzywilejowanych, którzy widocznie nie chcą psuć nikomu, „interesu“ i murów nie opuszczają. Dlatego, młody muzyku, możesz pisać tak wspaniałe jak Karłowicz partytury, możesz w gronie znawców uchodzić nawet za genialnego, możesz nawet budzić entuzjazm u swoich, a uznanie i respekt u obcych, Kraków jednak wykona tak szalenie epokowe dzieło jak „Requiem“ Verdiego (któż nie powie że poczciwy?!) i omało nie doprowadzi do ruiny jedynej poważnej dość instytucji muzycznej, która, chcąc dać obcym śpiewakom dosadny przykład polskiej gościnności, angażuje ich i zapłaci przyzwoite sumy, lecz uwolni ich od obowiązku śpiewania. Gdzież więc miejsce dla jakichś Karłowiczów! A grać ich dzieł nie potrzeba, bo nikt o nich nie wie, nikt nie zna kompozytorów tego rodzaju, ponieważ nie piszą srodze mnogich pieśni, srodze popularnych jak tania woda kolońska i piekielnie łatwych do zrozumienia i odśpiewania. Największa jednak wina spada na samego Karłowicza, który — jak potwierdzają wszyscy co go znali, zawsze zarozumiały i zawsze odpychający, nie rozumiał wielu rzeczy, n. p. tego, że polski kompozytor musi deptać po piętach różnych panów dyrektorów czy prezesów, dając im w ten sposób do poznania, że w istocie żywie; że polski kompozytor musi z reguły wiedzieć, jaki jest smak ogółu muzycznego; którego barometrem jest łaskawość nakładców muzycznych (nb. polskich); że w pismach codziennych recenzentami bywają kompozytorowie, którzy jednak bynajmniej nie są tak nieżyczliwi jak fama niesie, gdyż pierwsi dążą z kondolencją nim się upewnią czy ich „kolega“ w istocie przeniósł się na drugi świat; Karłowicz nie wiedział, że u nas nie wolno tworzyć na zwiększoną orkiestrę i używać w swych kompozycjach ośmiu waltornji, trzech fagotów, czterech fletów i t. p., ponieważ nikt z polskich kompozytorów tego nie czynił, a tylko zwarjowany Strauss, pruski kapelmistrz i podobno milioner, w dodatku twórca perwersji muzycznych pozwala sobie na to, że więc kompozytor polski nie powien tylu fagotów używać, gdyż to jest naśladowanie Straussa-Niemca. Że Karłowicz był zawsze złym patrjotą, o tem też coś można powiedzieć. Zamiast żeby się zapoznać i zżyć ze starożytną, owianą, panie dobrodzieju, wielką tradycją muzyczną kulturą takiego Lwowa i Krakowa, zamiast oddechać kulturą tych obydwu miast, z których w pierwszem koncertowali tacy mistrze jak Liszt, Brahms i Strauss a przez drugie przejeżdżał raz Chopin, dążąc do Wiednia — Karłowicz błąkał się po Paryżu, Berlinie, Lipsku, Monachium i Wiedniu. I na co mu się to zdało? Czy kto wie co o nim u nas? A jednak nasze Towarzystwa muzyczne mogą w każdej chwili udowodnić, że się Karłowiczem interesowały. Przysłał jedną ze swych partytur krakowskiemu Tow. muz., ponieważ wykonuje ono kompozycje obce a w najlepszym razie niemal wyłącznie jednego i tegosamego kompozytora, więc... Potem Karłowicz musiał „przez protekcję“ starać się o zwrot partytury swojej: tak ją ukryto dokładnie do archiwum. We Lwowie Ludomir Różycki—no i śmierć—wywalczyła w Tow. muz. odegranie utworów Karłowicza.

A jednak Karłowicz sam sobie był winien, że go nikt nie znał. Proponowano mu urządzenie koncertu kompozytorskiego — i w tym celu chciano złożyć dwie orkiestry wojskowe. Nie chciał, gdyż nie umiał ocenić dobroci tych orkiestr. Nie wiedział że n. p. w Krakowie puzonista wojskowy na „poważnym koncercie“ gotów jest w „podpurée“ (pardon! ma być: potpourri) z „Nibelungów“ objąć solową partję Wotana i wzbudzić entuzjazm wśród publiczności, a we Lwowie wykonuje się całe opery i najnowocześniejsze poematy symfoniczne — bez drugiego fagocisty i drugiego oboisty, co nadaje utworowi tyle wdzięku w brzmieniu, że podziw krytyki i publiczności nie ma granic. A Karłowicz mimo to nie chciał takich koncertów kompozytorskich urządzać. Nasi, tchnący zapałem patrjotycznym wirtuozowie widząc wrogą postawę kompozytora, postanowili widocznie zemścić się i wykreślili ze swej pamięci istnienie jego koncertu skrzypcowego i darząc nas fantazjami z oper, budzą do życia ospałe społeczeństwo węgierskimi, hiszpańskimi tańcami i tarantelami i obierają utwory, których wrażenie zgodne jest z ich tytułami, n. p. „berceuse slave“ (po polsku: usypianie słowiańskiej muzyki). Zresztą muzyka Karłowicza jest tak smutna i tragiczna, że słuchanie jej byłoby chyba przepełnieniem kielicha goryczy, jaki jest udziałem naszej publiczności (ciężkie podatki, obowiązek naprawy dziurawych dachów i t. p.). Jestto dowód wielkiego niedoświadczenia kompozytora w przeciwieństwie do jego

starszych kolegów, którzy pisząc pieśń do słów „Zejdź śmierci moja“, a nie chcąc przerazić muzykalnej publiczności kazali śmierci schodzić w balowej sukni i tempie walca i upodobnili ją do „dziewczęcia z malinową buzią“, którego „oczka — gwiazdki dwie“. Publiczność przecież nie ma wcale potrzeby przejmowania się „wonią asafetydy“ gdy jej dostarcza się tanio „pachnących mydełek“. Tego wszystkiego Karłowicz pojąć nie mógł. Ma więc za swoje.

Tragiczną była Muza Karłowicza. Nikt z polskich symfonistów nie zdołał wyrazić bólu, tęsknoty i tego wszystkiego, co zwać można tragedją duszy — tak silnie, tak wymownie i wstrząsająco, jak Karłowicz. Wszystko co od „Powracających fal“, pierwszego swego poematu symfonicznego, stworzył, nosi na sobie piętno bezpośredniego odczucia i bezwzględniej szczerości, niekrępowanej żadnymi konwencjonalnymi względami t. zw. „porozumienia się“ z panującym „smakiem“. A w wypowiedzeniu tego wszystkiego, tych uczuć, na które tylko muzyka posiada odpowiednie wyrazy, pomocną mu była mnogość darów wrodzonych i pracą nad sobą przyswojonych, jak ogromna wiedza muzyczna w zakresie techniki kompozytorskiej, zaznajomienie się i sprostanie najwyższym wymogom, stawianym przez ludzi uświadomionych artystom kulturalnym i posiadającym ambicję ustawicznego rozwijania się w każdym kierunku dalej—wysoka kultura muzyczna, która pozwalała mu iść za popędem własnego „ja“ bez oglądania się na oficjalny bieg naszej muzyki; wreszcie talent w kierunku obrazowego kształtowania swej inwencji, celem wyrażenia tego wszystkiego, czego w życiu swem, górnem i chmurnem, doznał, a co, dręcząc człowieka, dawało rozkosz artyście. Niepospolity umysł Karłowicza dał mu możność głębokiego pojmowania i ujmowania tego, co mu szeptała jego tragiczna Muza. Wiedzą swoją nie pysznił się, nie wysuwał jej na pierwszy plan w swych dziełach; używał jej tylko jako środka do wymowniejszego, pewniejszego wyrazu wypowiadania swych myśli. Dość spojrzeć w partytury Karłowicza — wyszły dotychczas dwie: „Powracające fale“ i „Trzy odwieczne pieśni“, aby przekonać się, że jego pojmowanie instrumentacji polifonji, rytmiki, harmonji, było równoznaczne z pojmowaniem c e l o w o ś c i w używaniu środków muzycznych, które wtedy jest racjonalne, gdy służy prawu wyrażalności. Sposób i wielkość władania tymi czynnikami muzycznymi stawia go ponad wszystkimi polskimi kompozytorami, aż do jego wystąpienia jako symfonisty. Nikt tak l o g i c z n i e nie buduje swych dzieł, nikt tak nie gardzi płaskiem efekciarstwem i taniem przymilaniem się masom jak Karłowicz; żaden z posiwiałych w swym kompozytorskim zawodzie muzyków polskich nie daje tak imponującej polifonji i instrumentacji jak Karłowicz. Odrzućmy konwencjonalne grzeczności i gałganki pruderji — bądźmy szczerymi, a zgodzimy się na to. Niewątpliwie był Karłowicz pod wpływem Czajkowskiego, Wagnera i Ryszarda Straussa, ale kto zna jego ostatnie dzieła: „Rapsodję litewską“, „Smutną opowieść“ i „Stanisława i Annę Oświecimów“, w których jako symfonista stanął najwyżej, ten uzna, że już w „Trzech odwiecznych pieśniach“ przemawiał swym językiem, który później jeszcze silniej stał się indywidualnym, tak, że można już mówić o „karłowiczowskim tonie“. Swemi dziełami wzbogacił naszą, niesłychanie biedną, muzykę symfoniczną, która do niedawna odznaczała się tem, że kompozytorowie jakby tylko okolicznościowo tworzyli utwory orkiestrowe. Zdołał to uczynić Karłowicz mimo swego 33-letniego życia. Możemy ze spokojem patrzyć w przyszłość naszej symfonii, gdy mamy takich, którzy wraz z Karłowiczem wznieśli ją już u nas na wysoki poziom i na jeszcze wyższy wznosić będą: gdy mamy Różyckiego, Szymanowskiego i Fitelberga, z którymi Karłowicz tworzy odrębną grupę, najbardziej możną w talenty i wiedzę „Młodą Polskę w muzyce“.

RAJMUND SCHOLZ.

Liść spadający mówi do drzewa:

Ku dobrej ziemi wiedzie mię ze sobą
wiecznego życia nieodparty pęd —
porzucam cię i ani mi za tobą,
ni tobie za mną będzie żal i smęt.

Przez moje serce tyś o słońcu śniło
i moją piersią piło z wiecznych tchnień,
gdy swoją młodą pracowałem siłą —
pracownik słońca — na twą moc i rdzeń.

Ta, która przyjdzie, wiosna, to jest moja
mądrość, u zorzy wyczytany cud —
i każdem włóknem wezbranego słoja
ty życiu wydasz moją myśl i trud.

Me własne życie z mego pnia mię zdjęło,
niestoczonego czerwiem drżeń i win —
bom na to był, by do dna własne dzieło
i do dna własny mię wyczerpał czyn.

Ty jednak musisz żyć, słonecznych wcieleń
świadczący, wierny i radosny plon —
ty rosłeś wzwyż przez moją dawną zieleń
i wyższem się przez mój odnowisz zgon.

Nie zglądaj się za nami wstecz, bo słońce
rychło rozkaże nowy wdziewać strój —
więc ładź u serca nowe sny szumiące
na bój nasytny, na słoneczny bój!

Ja idę precz, by troski ci nie kradło
zawiędłe brzemię prawd minionych dni —
ja idę precz, bom dzisiaj li widziadło
prawdy, co dała cały zapas krwi.

I przeto nie myśl, że wichura nie wie,
przecz mną pogania, abym padł i zgnił —
i tyś jest liść na jakiemś innem drzewie,
a mądrym wichr, co ciebie strzaska w pył!

Z archiwaliów polskich r. 1831.

Jedną z największych trudności, jakie ma do pokonania historyk powstania listopadowego, jest rozrzucenie materjału źródłowego, odnoszącego się do tej epoki, na olbrzymiej przestrzeni od Petersburga do Paryża. Główny wprawdzie zasób źródeł mieści się w Warszawie w Archiwum Akt Dawnych, Izby Skarbowej i Sztabu Okręgowego, dużo papierów zwłaszcza Rządu Narodowego umieszczonych jest w Krakowie w archiwum XX. Czartoryskich, część wreszcie wraz z olbrzymim materjałem do dziejów emigracji skupiona jest w Bibliotece Polskiej w Paryżu, ale też dużo aktów jest rozsypanych po licznych archiwach i zbiorach rodzinnych, które są jużto nieznane, jużto mało dostępne. Pracę nad danym tematem, już nie tylko z epoki powstania listopadowego, ale wogóle z dziejów porozbiorowych, utrudnia w dodatku i ten szczegół niemało ważny, że brak jest wogóle bodaj spisu takich zbiorów, któryby pozwalał przynajmniej w najogólniejszych zarysach zorjentować się w ich zawartości.

Poprzestając na tych ogólnych uwagach chcę podać parę szczegółów, tyczących się jednego zasobniejszego, dobrze utrzymanego, a dotąd nieznanego archiwum rodzinnego, kniaziów Puzynów z Gwoźdźca.

Rozpada się ono na dwa działy: 1) archiwum rodzinne, mieszczące różne dokumenty i nadania królów polskich: Władysława IV., Jana III., Augustów i Stanisława Augusta i korespondencję tyczącą się rodziny kniaziów Puzynów; 2) papiery po jenerale Dwernickim.

Te ostatnie, mające szersze znaczenie pod względem historycznym, dadzą się podzielić na następujące poddziały:

I. Papiery i dokumenty odnoszące się do r. 1831:

a) kwity i rachunki korpusu jenerała w czasie wyprawy wołyńskiej; stan służby niektórych oficerów. Do tej epoki należy też duży fascykuł, zawierający komplet papierów szwadronu Krakusów ks. Józefa Poniatowskiego;

d) kwity i rachunki, dalej stan poszczególnych oddziałów jego korpusu, od chwili przejścia przez granicę austrjacką;

c) korespondencja urzędowa władz austrjackich; ważniejsze przepisy, odnoszące się do internowanych w Austrji oficerów i jenerała Dwernickiego.

II. Emigracja:

a) różne pisma rządu francuskiego w sprawach polskich;

b) korespondencja jenerała z władzami francuskiemi, specjalnie w sprawie szkoły polskiej w Batignolles, której Dwernicki był wielkim orędownikiem;

c) różne listy i papiery mniej ważne.

III. Korespondencja jenerała Dwernickiego z czasów przeważnie emigracji z różnemi wybitnemi osobami:

a)] osobno oprawny tom, obejmujący listy Lafayetta;

b) listy osobistości obcych: Napoleona Bonapartego, późniejszego Napoleona III., Metternicha, marszałka Maison, Latour-Maubourga, Lobkowitza, Varin'a, Lamennais'go, Berangera; ze swoich: jenerałów Skrzyneckiego, Dembińskiego, Paca, Gawrońskiego (opisujące ostatnie chwile korpusu Ramoriny), Karola Różyckiego (ciekawe z powodu stosunku jego do jenerała).

IV. Rękopisy i notatki jenerała.

Prócz paru drobniejszych zapisek jenerała są tam 4 autografy pamiętników Dwernickiego, ciekawe tem, że różnią się między sobą w szczegółach, a wobec tego, że dwa znajdują się w bibliotece poturzyckiej Dzieduszyckich, suma ich dochodzi do pokaźnej cyfry 6.

V. Papiery prywatne przeważnie już z czasów późniejszego pobytu jenerała w Galicji, które uzupełniają się papierami ze zbiorów p. K. Przybysławskiego w Uniżu.

Tak się przedstawia spuścizna po Dwernickim, która przeszła drogą spadku, po córce jenerała Józefie, na dom obecnych właścicieli, a była ona podstawową dla jenerała, bo na niej to oparł się Dwernicki, pisząc swe pamiętniki.

Niezależnie od tego działu, ciekawym przyczynkiem do historji 1831 r. są jeszcze rękopiśmienne pamiętniki Józefa Puzyny, dowódcy artylerji w korpusie Dwernickiego.

Dr. Bronisław Pawłowski.

Zabytek lwowskiej estetyki.

Zasadniczą cechą gustu Lwowian był zawsze jaskrawy efekt, krzycząca barwa, przesada i upodobanie, choćby w najtrywialniejszej niezwyczajności. Lwów ubierał się jaskrawo i stwarzał jaskrawe objawy życia gwoli własnej uciesze i rozrywce. Kobiety jego już za czasów Sobieskiego nosiły się z francuska, a przedtem wyglądały w złocie, perłach i barwnych kamykach, jak bizantyńskie madonny. Uroczystości religijne i narodowe pełne były ogłuszającego huku armat, radość zaślepiała się w błyszczącym ogniu sztucznym. Panegiryczna przesada dochodziła we Lwowie do trywialności, wesele czy pogrzeb przeciągały się w tygodnie. W stroju, w życiu, w upodobaniach, do pewnego stopnia nawet w sztuce przewija się ten rys przesady coraz wyraźniej, im bliżej było ku końcowi Rzeczypospolitej. To, co ongi miało uzasadnienie swoje w bogactwie, w sąsiedztwie ze Wschodem, a wreszcie w pewnej wybujałości przy zetknięciu się różnych ras i narodów — to później stawało się szychem i blichtrem. Lwów łaknął płaskiej rozrywki, a z zasadzonych na jego bruku obcych pomysłów czy mody, prawie zawsze wyrastała karykatura.

Suknie kobiet lwowskich z czasów Dyrektorjatu przewyższały swoje pierwowzory francuskie o całą skalę wyzywającej nieprzyzwoitości, młodzieniec modny przechodził odrazu w karykaturę żwaną w różnych okresach to fanfaronem, to gogiem, to wreszcie ananasem. Niemiecka dobrodusznosć, przeflancowana po zaborze z Wiednia do Lwowa wyrosła w knajpiarstwo i bohemię, biedermajerowski sentyment utopił się w potokach piwa, a katarynka i czeska arfa do snu mu grały.

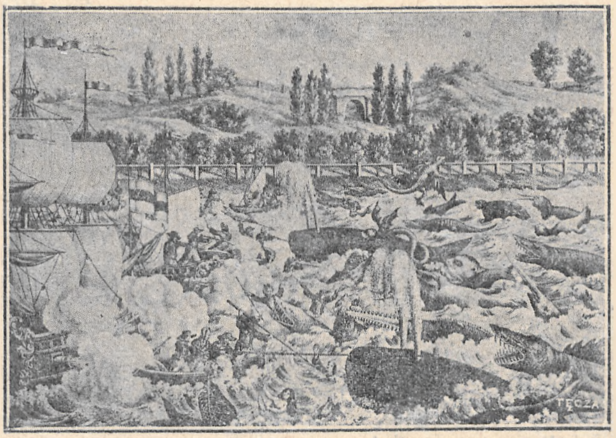
Na bruku lwowskim sparodjowało się wiele godziwych rozrywek. Wycieczka za miasto złączyła się z pojęciem żółkiewskiego „drąga“ i solennem „mordobiciem“, sielanka zapachła kwarglami, ruch uliczny ogniskował się koło zaczepiania kobiet. Nigdzie indziej tylko we Lwowie reduta stała się miejscem publicznem, festyn blagą, akcja publiczna karotażem, loterja liczbowa dźwignią ekonomiczną, dobroczynność naciąganiem.

Co najciekawsze jednak, to fakt, że nawet najpoważniejszy Lwowianin ma swoje chwile, w których lubi być naciąganym. Z fatalistyczną rezygnacją, krystalizującą się w haśle „było — nie było“ pozwala się okpiwać „tausendkinstlerowi“ w „teatrałce“ podziwia na własny koszt apetyt, a zwłaszcza pragnienie członków „damskiej kapeli“ i chociaż nie wierzy w festyny, to jednak chodzi na nie regularnie i regularnie im wymyśla.

Zresztą psioczenie i wymyślanie należy do lwowskiego inwentarza, tak samo jak „kolosseum“, jak zamiłowanie w popisach linoskoczków, jak festyn na cel dobroczynnny.

Zwłaszcza ten ostatni jest specjalnością Lwowa, z długoletnią tradycją i z tak samo dawnym precedensem blagi, mydlenia oczu. I jeżeli dawniej sakramentalną częścią każdego festynu była kiełbasa na wysokim drągu, po którą wspinać się było trzeba, to dziś rolę tęsamą odgrywa niezbędne „koło szczęścia".

Ale to tylko w normalnych warunkach. Chwile większych katastrof i potrzeba urządzenia w nich we Lwowie festynu na cel dobroczynny, wymagała silniejszej podniety nerwowej i bardziej egzotycznych środków. Tak było w r. 1845 w czasie żywiołowej klęski powodzi, która ogarnęła prawie całą Galicję. Dla ulżenia nędzy powodzian, urządzono we Lwowie na stawie pełczyńskim, dwa razy podówczas większym niż obecnie — festyn wodny. Rycina niniejsza przedstawia afisz zapraszający na ów festyn z przedsmakiem wszystkich przyjemności estetycznych, które na nim czekały Lwowianina. Miała to być walka potworów morskich, naturalnie tekturowych. Wieloryby, krokodyle, latające smoki, a nawet sympatyczna Meluzyna, czyli syrena, o której rozczulające historje przynosiła współczesna literatura popularna, wszystko to w dniu 14. września 1845 miało dać sobie *rendez vous* na wodach stawu pełczyńskiego ku uciesze Lwowian, a na wspomożenie dotkniętych powodzią.



Festyn na stawie pełczyńskim w r. 1845.
(Według współczesnej litografji.)

Afisz pięknie wylitografowany, dziś nadzwyczajną rzadkość stanowiący, zrobił swoje. W oznaczonym dniu dosłownie całe miasto wyruszyło nad staw pełczyński. Przedsiębiorcy urządzali trybuny, bo zwyczajem lwowskim jeden chciał widzieć lepiej i dokładniej, aniżeli drugi, tłok panował olbrzymi, wymyślanie na nieporządek było ogólne, a najbardziej psioczyli na owczy pęd publiczności ci, którzy tłoczyli się najbardziej, pragnąć się dostać do pierwszych szeregów.

Jeżeli mamy wierzyć współczesnym relacjom, walka tekturowych potworów na stawie pełczyńskim zrobiła na umysłach mieszkańców Lwowa — niezatarte wrażenie. Krążące po stawie sztuczne wieloryby, krokodyle i syreny budziły głośne okrzyki zachwytu i grozy, tak samo jak łodzie, napełnione murzynami, Turkami, majtkami, a na zakończenie miała się odbyć „rzecz dotychczas we Lwowie niewidziana" to jest połów wieloryba!

Podobno jednak nie wszystko odbyło się według zapowiedzianego programu. Publiczność, jak na każdym zresztą festynie, wziętą została na kawał — ale, że jak już wspomniano, Lwowianin lubi być czasem naciągniętym — więc skończyło się wszystko na lekkiem wymyślaniu, poczem ta sama publiczność chodziła jeszcze wielokrotnie oglądać ulubione sztuki magiczne i eskamoterskie, łamańce cyrkowe, szybkobiegaczy i linoskoczków, tak samo jak dziś chodzi na kinematograf, do koloseum, a czasem także do teatru... na operetkę.

Afisz, zapraszający na „walkę potworów" jest zabytkiem dawnej lwowskiej estetyki — głośne okrzyki pauprów na placu marjackim, witające reklamograf, są dokumentem gustu teraźniejszego.

Fr. Jaw.

Grota nowa w Krzywczu.

Niedawno podał był w „Dile“ opis groty w Krzywczu, w powiecie borszczowskim p. Kłym Gutkowski, który ją kilkakrotnie zwiedzał. Pod wpływem opisów jego wybrałem się jego śladami, do tejże groty, która według jego twierdzenia, powtarzanego przez dzienniki polskie, ma być największą z grot europejskich. Czy tak jest rzeczywiście, powiedzieć w chwili obecnej nie mogę, gdyż sznur, który wziąłem ze sobą dla orjentowania się i zmierzenia wielkości jej dnia 19-go listopada, okazał się zbyt krótkim i kierować się musiałem bądź to papierkami, którymi drogę swą znaczył p. Gutkowski, bądź też w dalszym ciągu sznurem starym zapleśniałym, pozostawionym przez niego. Przyznać muszę, że rzeczywiście grota ta jest bardzo piękną i bardzo wielką. Jednakże za do miejsc prawdziwie pięknych. Dwie wielkie pie- zaletę jej nie można uważać trudnego dostania się czary, które znalazłem po czterech godzinach chodu, a raczej pełzania, są prawdziwie pięknemi. ale czy widzenie ich warte trudu, jakiego wymaga dostanie się do nich niskimi i ciasnymi kurytarzami, o tem pozwalam sobie wątpić. Do groty tej wybrałem się jako zoolog, mając nadzieję znalezienia żyjącej tam fauny jaskiniowej, w którą tak bogate są groty Krasu. Życia jednak żadnego w niej nie znalazłem i być może ta przyczyna jeszcze mnie zachęci do ponownej wycieczki. Niedaleko od wejścia w grocie znalazłem dość wielką ilość węgla kuchennego, tkwiącego w gipsie (z gipsu bowiem składa się cała grota). Węgiel ten może być śladami istnienia tam człowieka przedhistorycznego, jednakże może także pochodzić z czasów zupełnie niedawnych, gdyż gips, rozpuszczając się w wodzie, mógł także osiąść na węglu, który się tam dostał w czasach niedawnych. Oprócz poszukiwań zoologicznych, miałem także na celu zbadanie, choć powierzchowne, czy grota ta nie była zamieszkałą, lub czy nie służyła jako cmentarzysko w czasach przedhistorycznych, podobnie jak grota w Bilczu. Wciągnięcie jednak rydla do podziemi przedstawiało zbyt wielkie trudności, tak, że trzeba się było wyrzec tego projektu. Czego jednak nie można było wykonać w czasie jednej wycieczki, to dałoby się urzeczywistnić przy badaniu choć kilkutygodniowem.

W czasie, kiedy ja zwiedzałem tę grotę, pojawiła się korespondencja w „Kurjerze“, podpisana przez p. Janusza, że grota ta miała być badaną przez Kirkora i że ściany jej pokryte są rysunkami, czy też obrazami. Pod tym względem upewnić mogę, że żadnych obrazów w tej grocie absolutnie nie widziałem.

Natomiast ma być druga grota w Krzywczu, należna do probostwa gr. katolickiego i grota ta ma mieć rozmaite rysunki na ścianach. Groty tej wprawdzie nie zwiedzałem, ale zwiedzał ją także p. Kłym Gutkowski. A groty tej nie zwiedzałem dlatego, że wybierając się do Krzywcza nie wiedziałem, że są tam dwie groty, i nikt o nich nie mówił mi w samem Krzywczu.

Jednorazowa wycieczka do groty, zwiedzanej przezemnie, wyczerpuje zbyt wiele sił za jednem zwiedzeniem. Dojście do dwóch pieczar i powrót zajęły razem 8 godzin. Ciasne bowiem i niskie bardzo przejścia spowodowały pokaleczenie kolan i rąk, gdyż nie wiedziałem jeszcze, jak się zaopatrzyć do tego rodzaju wycieczki, ponieważ znałem przeważnie tylko groty w Krasie, które są dość wysokie i wygodne.

Dr. Mieczysław Grochowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Próba charakterystyki dawnego prawa polskiego prywatnego, napisał dr. Przemysław Dąbkowski. Lwów 1909. — Zebrawszy poszczególne cechy dawnego prawa polskiego, stworzył z nich autor pogląd na całość tego prawa. Zasadniczą jego cechą jest, że pozostało ono przez cały ciąg swego istnienia prawem, prawie wyłącznie zwyczajowem. Stąd płynęła szkodliwa jego niepewność, zupełna zawisłość od osobistej woli sędziego, zaściankowość i zakrzepnięcie w zwyczajem uświęconej tradycji. Okoliczność jednak, że prawo polskie było głównie zwyczajowem, nie dopuściła w znaczniejszej mierze wpływów obcych, skutkiem czego zachował się jego czysto polski charakter. Na tle tych dwu zasadniczych cech wypowiedział autor cały szereg spostrzeżeń, opartych na głębokiej znajomości prawa polskiego

a charakteryzujących je razem ze wszystkimi pierwiastkami, które w skład jego weszły, naleciałościami i wpływami. Jasność i potoczystość wykładu, zwięzła jego forma i ścisłe argumentowanie przydają dużo wartości tej, drobnej rozmiarami, pracy uczonego badacza, wygłoszonej poprzednio jako odczyt w Stacji naukowej krakowskiej Akademji umiejętności w Paryżu.

Miesięcznik heraldyczny, organ Towarzystwa heraldycznego we Lwowie, już w pierwszych numerach drugiego swego rocznika poczyna się wybijać między polskiemi czasopismami naukowemi Wielka żywość redakcji i ruchliwość redaktora p. Władysława Semkowicza zdołała już skupić duże grono współpracowników i to takich, którzy istotnie mają coś do powiedzenia tak co do genealogii poszczególnych osób i rodzin, jak i w kwestjach ogólnych. Do najciekawszych w tym ostatnim dziale należy artykuł dra Kutrzeby, dający kilka ciekawych przyczynków do teorji runicznej. Zestawił tu autor piętna koni „caboclosów“ w Paranie, bardzo do run podobne, takież znaki domowe z Pommatu w północnym Piemoncie, i polskie znaki własnościowe, a mianowicie ciosna na drzewach we wsi Borku, zachowane w rysunku w jednym z rękopisów z XVI w. w bibliotece Czartoryskich. Podobieństwo ze znakami runicznymi, zestawionymi przez śp. Piekosińskiego z herbów szlachty polskiej, jest tu istotnie bardzo uderzające. Autor nie wyprowadza stąd stanowczych wniosków, ale w każdym razie samem zestawieniem tych rzeczy w żadnym przyczynowym związku ze sobą nie zostających, rzucił pewien, nowy cień na teorję śp. Piekosińskiego o powstawaniu herbów szlachty polskiej.

Szlakami wiedzy. Szkice i odczyty dla wykształconego ogółu o zagadnieniach biologii współczesnej, napisał prof. Nusbaum-Hilarowicz. Wydanie drugie, znacznie rozszerzone. Lwów 1909. Księgarnia Polska B. Połonieckiego. Książka, napisana w ten sposób, jest dobrodziejstwem dla oświeconej publiczności. Olbrzymiejący coraz bardziej obszar wiedzy i jej zdobycze, z których z roku na rok nieledwie rodzą się nowe specjalności, wymagające długoletnich studjów — cały ten świetny rozrost, zwłaszcza nauk przyrodniczych, zostaje ziemią dla ogółu najzupełniej nieznaną. Czasami tylko, za pośrednictwem prasy codziennej, otworzy się okienko na te bezmierne obszary, czasami jakieś sensacyjne odkrycie zaniepokoi lub wzbudzi nadzieje, zwykle fantastyczne i nieuzasadnione. Nadzieje te towarzyszą zwłaszcza biologii, jako że jest to nauka stosunkowo młoda, a ma za zadanie zbadać najgłębsze tajniki życia ludzkiego, nad którymi umysł ludzki biedzi się — jeżeli wolno tak powiedzieć, od początku świata.

Więc jest istotnem dobrodziejstwem dla ludzi trzeźwa, spokojna, a ściśle naukowa odpowiedź na dręczące ich nieraz pytania. I to nawet z czysto utylitarnego stanowiska — jeżeli zdoła zamknąć usta szarlatanom, pseudo-uczonym, lub nawet spekulantom na ludzką łatwowierność.

W szeregu szkiców, napisanych barwnie i przystępnych dla średnio wykształconego czytelnika, podał prof. Nusbaum-Hilarowicz najnowsze wyniki i zdobycze nauk biologicznych. Pierwsze wydanie zostało w lot rozchwytane, drugie bardzo rozszerzone i pod względem wyników doprowadzone do dni najnowszych, stanowi obecnie miłą lekturę dla tych nawet, którym niezawsze sama powieść wystarcza. Autor porusza zasadnicze kwestje z zakresu biologii, a potem roztrząsa cały szereg niezwykle zajmujących pytań, jak o życiu i śmierci, zapłodnieniu, dziedziczności, o chorobie w świetle teorji ewolucji, a wreszcie roztrząsa sprawy tak aktualne, jak przyczyny powstawania płci (krytyka „teorji“ Szenka), jak wyraz twarzy i mowa oczu i t. p.

Najpiękniejszym jednak, nawet do pewnego stopnia pod względem literackim, jest szkic o życiu w otchłaniach morskich. Autor odsłonił tu rąbek świata ciszy niemal absolutnej, ołowianego spokoju wody i cieniów nocy, w którym rozgrywają się okrutne tragedje walki o byt. Czyta się te rzeczy z zapartym oddechem, jak powieść, bo jakoż być może powieść cudowniejsza od tej, która jest spisana na kartach księgi przyrody. Książka prof. Nusbauma-Hilarowicza może być elementarzem, który nauczy trochę czytać te odwieczne i niezbadane karty. *J.*

NOTATKI.

Obrazy polskie w Moskwie. Tak zwane Muzeum Rumiancowskie w Moskwie obfituje, jak wiadomo, w polskie zabytki. Znaczna ich część, a mianowicie przeszło 600 numerów, w tej liczbie obrazy, rzeźby, broń, nagrobki, pieczęcie — należy do osobnego działu „Kolekcji muzeum wileńskiego“, zabranej w r. 1864 z Wilna. Poza tym działem obszerny zbiór monet i medalów polskich mieści się w gabinecie numizmatycznym; niektóre zabytki są porozrzucane po innych działach muzeum. Z obrazów posiada to muzeum: portret Joachima hr. Litawora Chreptowicza, ostatniego kanclerza litewskiego (1729—1812), kopją dokonana przez Demela z oryginału, pędzla Józefa Orassiego: portret Jana Kazimierza Sapiehy, wojewody wileńskiego, hetmana wielkiego litewskiego; śmierć błogosławionego Józefata Kuncewicza, arcybiskupa połockiego w r. 1623, przez Józefa Simlera † 1861 r.; portret Adama ks. Czartoryskiego, kuratora uniwersytetu wileńskiego przez Józefa Oleszkiewicza. Obraz ten widocznie pochodzi z sali obserwatorjum astronomicznego w Wilnie i należy do usuniętych w r. 1868. Inne portrety, które były w obserwatorjum: Poczobuta, Skargi, biskupa Strojnowskiego i w. in. są obecnie we wspomnianym dziale kolekcji muzeum wileńskiego.

Oprócz tych obrazów historycznych są w galerji obrazy Aleksandra Orłowskiego, Tadeusza Góreckiego, Spowiedź katolicka, z podpisem i datą 1846 r., malarza wileńskiego Alberta Żametta serja pejzaży.

Wreszcie należy wspomnieć o ciekawym obrazie Orestesa Schwalbego (Kipreńskiego) p. t. „Czytelnicy gazet we Włoszech“. Obraz wyobraża czterech młodych wieśniaków włoskich w strojach narodowych, z nich jeden czyta gazetę z artykułem „Pologne“, a inni słuchają; w dali widać miasto, położone nad zatoką. Są tu sportretowani Antoni Edward Odyniec (czytający), Adam Mickiewicz, Zygmunt Krasiński i ostatni, na prawo Aleksander hr. Potocki. Obraz nosi datę 1831 r.

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.